

Rzeczpospolita 1-2-97

Pojedynek z dżunglą

Nie mogę otrząsnąć się z natłoku wrażeń. Pode mną, pod zielonym dachem tropikalnej dżungli, pojawiają się widoki zapierające dech w piersiach. Najpierw wśród bujnej roślinności wyłonił się fragment okazałej kamiennej budowli, w chwilę później widać było inną wspaniałą świątynię, potem oszalałająca, koronkowa, architektura Bajonu z ponad dwustoma gigantycznymi obliczami Dżajawarmana VII, największego z królów khmerskich, uznawanego przez poddanych za wcielenie Buddy.



Świątynia Angkor Wat

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Później z helikoptera lecącego na wysokości niecałych stu metrów widzę w oddali zdumiewający ogrom, z wieżami niczym strzeliste pinakle, kompleks Angkor Wat, a w dole, tuż pod nami, Taras Trójdostowego Króla z robotnikami krzątającymi się przy pracach renowacyjnych.

Począwszy od IX wieku Angkor, starożytna stolica wielkiego imperium khmerskiego, dominował przez 400 lat w całej południowo-wschodniej Azji. Wojny z wiecznymi wrogami, Czamami i Syjamczykami, osłabiły jego potęgę. W 1431 roku Angkor upadł definitywnie, stolicę przeniesiono na południe kraju. To, co było symbolem siły i bogactwa, w krótkim czasie zostało całkowicie pochłonięte przez nieprzenikloną dżunglę.

Wielokrotnie odwiedzałem to baśniowe centrum zabytkowe, ale tym razem mogłem oglądać arcydzieła architektury w sposób wyjątkowy, bo z powietrza. Pan John Sanday, nadzorujący z ramienia World Monuments Fund prace konserwatorskie w Preah Khan, zgotował mi tę miłą niespodziankę jako nagrodę za liczne publikacje o Angkorze.

Ogromny kompleks świątyń, klasztorów, mauzoleów i fortec, jest dzisiaj opanowany przez licznych konserwatorów, co raczej nie sprzyja utrzymaniu jego osobliwego romantycznego uroku. Nie ma chyba na świecie czegoś podobnie oszalałającego, co można by porównać z fantastyczną wizją niektórych tutejszych zabytków. Choćby, na przykład, Ta Prohm czy Preah Khan, olśniewające klejnoty khmerskiej chwały, które od ponad pięciu wieków toczą dramatyczny pojedynek z przyrodą.

Dżungla dominuje tu na każdym kroku, potężne korzenie figowca bengalskiego wdzierają się w szczeliny gigantycznych bloków, rozsadzając z dziecinną łatwością okazałe budowle. Konary, korzenie i pnącza niczym krwiopijna ośmiornica, oplatają wieże, posagi, krużganki. Fantastyczna sceneria, obok której żaden człowiek nie może przejść obojętnie.

Dzisiaj leśne drożki powoli przekształcają się w uporządkowane alejki, znika patyna z subtelnymi płaskorzeźb, ruiny zostają oczyszczone z żarłocznej roślinności, w zawalonych przedtem galeriach można teraz poruszać się bez pomocy latarki elektrycznej. W miejsce brakujących głów na niektórych kamiennych posągach rozbitych przez wandalów, bądź ukradzionych przez bandy złodziei zabytków, pojawiają się ich kopie, które nie zawsze harmonizują z antycznym pomnikiem.

Pamiętam, jak ćwierć wieku temu, zwiedzając Angkor na grzbiecie słonia, natknąłem się na małą świątynię Ta Som. Monumentalna twarz, stanowiąca jej wieżę, pokryta była wówczas płateliną korzeni, miażdżąca ją w śmiertelnym uścisku. Obecnie obiekt ten został całkowicie oczyszczony, nie ma już śladu tej przerażającej pajęczyny, a na jej miejscu widoczne są tylko szerokie szczeliny raniące łagodne oblicze Buddy.

wśród ruin coraz częściej pojawiają się turyści, a wraz z nimi nieodłączny biznes pamiątkarski. Przed wejściem do świątyni stoją kolorowe stragany z zimnym piwem i masą „antyków”, wykonanych przez współczesnych artystów i rzemieślników.

To największe na świecie muzeum pod otwartym niebem, o powierzchni większej od obszaru wielkiej Warszawy, od 1861 roku, to jest od odkrycia go przez francuskiego botanika Henri Mouhota, nigdy nie znalazło się w zasięgu masowego ruchu turystycznego. Najpierw toczyły się tutaj walki wyzwolenicze przeciwko kolonizatorom francuskim, potem rozpętała się ogólnoswiatowa zawierucha wojenna, która opanowała całe Indochiny, następnie starcia zbrojne wojny domowej, rzeź bandy Pol Pot'a i wreszcie okupacja wietnamska. W 1988 roku, na dwa lata przed wycofaniem się „bratnich” wojsk, które zamierzały wyzwolić kraj od Czerwonych Khmerów, zarejestrowano tutaj około tysiąca zwiedzających. W ubiegłym roku było już ich dwadzieścia razy więcej, a za dwa lata oczekuje się ich przynajmniej dwustu tysięcy.

Nie ukrywam, że moja ostatnia podróż przyćmiła mi znacznie blask majestatycznego piękna Angkoru i dlatego szczerze namawiam wszystkich przyjaciół do wyprawy tutaj jak najszybciej. Dopóki miasto to zachowało jeszcze swoją dziewiczość i nie zostało zalane hordami turystów.

Kiedyś przybysze do Angkoru zatrzymywali się w jednym z trzech hoteli Siem Reap, leżącego 6 kilometrów od historycznego centrum. Osobiście zawsze przedkładałem „Grand Hotel” z jego obszernymi pokojami, łóżkami z baldachimem, wysokimi sufitami i dużymi wentylatorami tworzącymi atmosferę Dalekiego Wschodu Conrada czy Kiplinga. Obecnie „Grand Hotel” znajduje się w remoncie i z dziesiątków nowych hoteli wybrałem Golden Apsara, którego właścicielką jest uroczą Muong Vuoch Lim.

Podobnie rzecz ma się w Phnom Penh. W stolicy zawsze ceniliem sobie Le Royal, jeden z najbardziej eleganckich hoteli epoki kolonialnej na Półwyspie Indochińskim. Teraz także i on podlega renowacji.

Właśnie w Le Royal poznałem w latach 70. André Malraux. Światowej sławy pisarz i minister kultury w okresie prezydentury de Gaulle'a trafił do Angkoru w 1924 roku. W towarzystwie żony Clary i przyjaciela Louisa Chevassona próbował wywieźć wtedy ze świątyni Banteay Srei kilkanaście dużych płaskorzeźb. Aresztowany przez policję kolonialną został skazany na trzy lata więzienia, ale dzięki interwencji intelektualistów francuskich odzyskał wolność po kilku miesiącach. Z tej niefortunnej podróży pozostał ślad w postaci wspaniałej powieści „Królewska droga”, która miała być publicznym przeproszeniem za niegodziwy występki.

Mieszkałszy na tym samym piętrze i kilkakrotnie wspólnie spożywalismy kolacje. Siedemdziesięcioletni, ale pełen energii, pisarz opowiadał mi o niektórych wydarzeniach swojego bogatego życia, o wojnie domowej w Hiszpanii, niemieckim więzieniu w czasie II wojny światowej i późniejszych podróżach po świecie. Nigdy nie wspominał o pełnym dramaturgii życiu rodzinnym, śmierci dzieci ani też nie miał ochoty nawiązywać do wydarzeń związanych z Banteay Srei.

Dwa lata temu byłem gościem króla Sihanouka i w trakcie spaceru w pałacowym ogrodzie nierozważnie wspominałem o przestępstwie młodego Malraux, na co Jego Wysokość zareagował bardzo nieoczekiwanie: „Malraux nie był zwykłym złodziejem, był wielbicielem sztuki”.

Król chętnie opowiadał mi o międzynarodowych wysiłkach, mających na celu uchronienie cennych zabytków Angkoru, „należącego do całej ludzkości”, jak się wyraził.

W grudniu 1992 roku Angkor został wciągnięty na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO, której apel o pomoc został przyjęty przez szereg organizacji narodowych i prywatnych. W Angkor pracowali również polscy konserwatorzy.

Problem jednak pozostaje. Przywrócenie zabytków do dawnej świetności jest zadaniem na gigantyczną miarę i wymaga trudnych do oszacowania, ogromnych środków. Bardzo wątpliwe, aby to dzieło można było kiedykolwiek doprowadzić do końca. Coraz częściej pojawiają się opinie ekspertów, że lepiej będzie ograniczyć prace do „kosmetyki”. Powstrzymałaby ona niestanny atak przyrody, ale pozostawiła w spadku następnym pokoleniom niepowtarzalną atmosferę tajemniczości, zrodzoną w ciągu wielu stuleci zmagania z dżunglą.

JACEK PAŁKIEWICZ Z ANGKOR